BIBLIOTEKA

„Nowego Dzwonka“

wychodzi raz w miesiącu, około dnia 1-go.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny:

Ks. Marceli Dziurzyński.

Rocznik I. Kwiecień 1901 r. Zeszyt III.

Biblioteka „Nowego Dzwonka“ kosztuje **w rocznej prenumeracie: 1 koronę** (50 ct.) — **Do Niemiec na rok 1 markę.**

Przedpłatę przyjmuje Redakcya „Nowego Dzwonka“ w Krakowie, ul. Basztowa L. 4.

Każdy prenumerator „Nowego Dzwonka“ otrzymuje „Bibliotekę“ całkiem za **darmo,** jako dodatek miesięczny do „Nowego Dzwonka«·

KRAKÓW.

Nakładem Redakcyi „Nowego Dzwonka“.

W KRAKOWIE,
CZCIONKAMI DRUKARNI ZWIĄZKOWEJ
pod zarządem A. Szyjewskiego.

Wielki Tydzień w Polsce.

W Wielkim Tygodniu — jak czytamy w dawnych pamiętnikach — wszyscy Polacy, zajmowali się nabożeństwem, przygotowaniem do spowiedzi wielkanocnej i nie opuszczali żadnej kościelnej ceremonii. Nawet królowie panujący nie postępowali inaczej. Konstancya Austryaczka, żona Zygmunta III., przez cały Wielki Tydzień odwiedzała ubogich i chorych, udzielała wsparć, w Wielki Piątek obchodziła groby i całą noc przepędzała w kościele, aż do zaśpiewania w sobotę Alleluja.

W Wielką Środę, po odprawionej w kościele jutrzni, która się nazywa ciemną dlatego, że podczas niej gaszą wszystkie świece po jednej przy śpiewaniu odpowiednich psalmów, jest zwyczaj, że księża, na znak zamieszania, jakie powstało przy męce Chrystusowej, uderzają psałterzami i brewiarzami o ławki, czyniąc w ten sposób pewien łoskot. Otóż dawniej swawolni chłopcy, naśladując księży, pozbiegawszy się do kościoła z kijami, tłukli niemi o ławki z całej siły, dopóki służba kościelna nie wypędziła ich ztamtąd.

Wówczas robili bałwana ze starych szmat, wypchanego słomą, który miał wyobrażać Judasza. Najpierw oprowadzali go po ulicach, a następnie wciągali na wieżę kościelną, aby zrzucić z okna na ulicę. Skoro Judasz został zrzucony, włóczono go na sznurku po ulicach, przyczem

chłopcy, goniąc za nim, bili kijami dotąd, dopóki go zupełnie nie popsuli.

Podobnie, jak to czynią Biskupi, i królowie nasi w Wielki Czwartek starcom umywali nogi. Zygmunt III. był pierwszym, który tego obrządku regularnie dopełniał. Ubogich starców sadzano potem do stołu, a król i znakomitsze osoby im usługiwały. Każdy starzec otrzymał całkowity ubiór, nóż i widelec srebrne, tudzież serwetę, w której był zawiązany dukat. Potem następowała wieczerza, na którą król zapraszał wszystkie znakomitsze osoby w stolicy. Po niej zamek jeszcze bardziej napełniał się osobami ciekawemi usłyszeć oratorium, które wykonywali zazwyczaj sławni śpiewacy i śpiewaczki, umyślnie przybyli z Włoch w tym celu.

Kończyła tę pobożną uroczystość kwesta, zbierana przez najpiękniejszą z dziewic ówczesnych. Kwesta przynosiła zwykle trzy do pięciu tysięcy dukatów, które następnie dzielono pomiędzy szpitale warszawskie.

Od Wielkiego Czwartku począwszy, aż do Soboty włącznie, kościół na znak żałoby nie używa dzwonów, tylko klekotek do kołatania. Jak tylko na wieży kościelnej przedtem odezwała się klekotka, chłopcy natychmiast nie omieszkali biegać po ulicach, sprawiając swemi grzechotkami przykry hałas. Grzechotek takich sprzedawano dawniej na rynku masami, jako towar pożądany. Klekotka kościelna była większa, osadzona na kółkach, jak taczki, dla łatwiejszego toczenia jej

po ulicy, około świątyni Pańskiej i oznajmiania ludowi o zbliżającem się nabożeństwie.

Wielki Piątek cały poświęcony bywał rozpamiętywaniu Męki Pańskiej. W tym dniu po nabożeństwie zaczynało się obchodzenie grobów. Mężczyźni i damy, wszyscy ubrani byli czarno. Z zapisków kupca Janickiego pod 1734 rokiem, dowiadujemy się, że Fiszerowa, jego siostra, w bławatnym swym handlu na Krakowskiem Przedmieściu, utargowała w dni poprzedzające Wielki Piątek za czarne materye i wstążki 1422 tynfy.

Pani Guebriant, która z Francyi przywiozła żonę Władysławowi IV., wyraziła zdanie, że u nas groby wielkopiątkowe są daleko piękniejsze i wspanialej urządzone, niż we Francyi. Wszędzie niemal było wyobrażenie Chrystusa Pana i Najświętszej Panny Bolesnej przy nim; rozpadająca się ziemia i obroty ciał niebieskich były przedstawione misternie.

U Jezuitów cały grób z szyszaków, pałaszy i innej broni był złożony, a wszędzie przygrywała łagodna i smutna muzyka. Ksiądz Kitowicz wspomina w swych pamiętnikach, że za panowania Augusta III., na grobach przedstawiano często jaką historyę ze Starego lub Nowego Testamentu, za pomocą ruchomych figur i zmieniających się dekoracyj; najpiękniejsze bywały u Jezuitów i Misyonarzy, najskromniejsze u Pijarów. U grobu w kolegiacie wartę odprawiali drabanci królowej, u św. Trójcy — artylerya konna. Karabiny musiały być obrócone rurą na dół. Król August, ponieważ był otyły niezmiernie, grobów nie ob-

chodził, ani objeżdżał, bywał tylko na lamentacyach u Augustyanów.

Groby po wsiach nie ustępowały miejskim, wszędzie sadzono się na przepych i okazałość. Tu wśród morskich bałwanów straszny wieloryb bezustannie połykał i wyrzucał Janasza; tam przedstawiony był cudowny poływ ryb św. Piotra lub jaki inny pobożny temat. Przed grobem znajdował się zwykle ogródek wzorzysty z pięknie wzrosłego owsa, rzerzuchy, bukszpanu; próżne miejsca były kolorowym piaskiem wysypane, a po bokach stały drzewka cytrynowe, pomarańczowe, piękne kwiaty i wisiały lampy z kolorowemi zasłonami.

Po obiedzie w Wielki Piątek w miastach, a nawet po wsiach zaczynały się procesye. Śród procesyi postępował ktoś udający Pana Jezusa, w koronie cierniowej, z łańcuchami i dźwigał krzyż wielki; dopomagał mu Cyreneusz, otaczali ich żołnierze judzcy, a kiedy upadał pod tem brzemieniem, płazowano go, mówiąc: — Postępuj, Jezu!

Kapnicy w szarych lub kolorowych kapach na pamiątkę pięciu Ran Chrystusowych w tyluż kościołach, albo w jednym pięćkrotnie, biczowali się przez całe »Miserere«. Marszałkowie dawali im znać, kiedy krzyżem leżeć, kiedy smagać się, krzyż całować lub dalszą rozpoczynać mają procesyę. W późniejszych czasach zniesiono te widowiska, jako zbyt rażące.

Po wsiach w Wielki Piątek albo Wielką Sobotę służba dworska wiązała śledzia na długim powrozie, do którego cienką nitką był przycze-

piony, i wieszała go na suchej wierzbie, lub innem drzewie nad drogą, karząc go niby za to, że przez siedm tygodni morzył ich żołądki. Wynoszono również z kuchni żur, jako już niepotrzebny; był to jednak figiel, obliczony na łatwowierność kogoś niewtajemniczonego. Takiego namawiano, ażeby garnek z żurem, w kawałek sieci zawiązany, wziął na plecy lub na głowę i niósł go tak, niby do pogrzebu. Za nim postępował ktoś z rydlem, jako mający dół kopać, w którym żur pochowają. Gdy wyszli z kuchni na dziedziniec z orszakiem niemałym, ten, co szedł z rydlem, uderzał w garnek, a żur oblewał niosącego, sprawiając powszechny śmiech i wesołość.

Zawsze pobożni Polacy i królowie z rodziną swoją — jak czytamy w opisie podróży p. Guebrant — większą część nocy w Sobotę wielką przepędzali w kościele. W stolicy, w miastach, a nawet i po wsiach w czasie rezurekcyi strzelano z armat, moździerzy, fuzyj i pistoletów przez beczkę próżną dla większego odgłosu; palono dokoła kościoła lub w pobliżu beczki smolne. Jedno i drugie przez niezręczność lub nieostrożność zrządzało czasami wypadki. August III., podobnie jak jego poprzednicy, bywał na rezurekcyi w kolegiacie, tak samo postępował i Stanisław August, razem z ministrami, dworem i senatem. Wówczas artylerya 300 razy dawała ognia na Gnojowej górze. Po rzezi humańskiej, kiedy na początku czteroletniego sejmu rozeszły się niepokojące wieści o przygotowaniach do podobnej, w wielu miejscach przeniesiono rezurekcyę z północy na

poranek wielkanocny, aby uniknąć napadu. Rezurekcya o różnych odprawianą była godzinach, a lud pobożny z jednej udawał się na drugą i obchodził niemal wszystkie.

Z martwych wstanie...

(Podanie ludu tatrzańskiego).

W noc z Wielkiej Soboty na Niedzielę Wielkanocną żaden góral nie wspina się nigdy na szczyty Tatr.

Komuż to w głowie onej nocy uroczystej, kiedy cały lud spieszy do kościółka wiejskiego na Rezurekcyę.

Aliści raz góral pewien zabłąkał się wśród skał podniebnych jeszcze w Wielki Czwartek i przez trzy dni i trzy noce napróżno szukał drogi, ślizgając się po śniegach i lodach.

Wtem słyszy zdala strzały. W pierwszej chwili przeraził się hukiem głuchym wśród ciemności, otaczających go dokoła; wkrótce jednak zrozumiał, że odgłosy pochodziły od wsi, gdzie podczas Rezurekcyi strzelano z moździerzy. Kiedy go wreszcie doleciał dźwięk dzwonów z daleka, zasmucił się góral mocno. Tam, we wsi, rodzina jego śpiewa «Alleluja» i gotuje się do świąt, niespokojna z powodu zbyt długiej nieobecności ojca w domu, podczas gdy on, wycieńczony, zaczyna

już wątpić o prawdopodobieństwie ocalenia i powrotu swego.

Lęk straszny przejął rozżalonego górala.

Zrazu przeklinał godzinę, w której przyszła mu myśl dzika wyruszania z domu o tej porze i wałęsania się po skałach.... Potem w trwodze zamarły mu na ustach przekleństwa. Przeżegnał się, ale nie mógł odmówić modlitwy. Dziesięć razy zaczynał Ojcze nasz i mylił się za każdym razem.... Nie szło mu.... Drżał na całem ciele z zimna, głodu, znużenia i strachu. Dokoła nie widział nic, krom białych, trupio białych całunów śniegu, zasłaniających wszystko. Zakręciło mu się w głowie. Zachwiał się, więc ręką szarpnął kawał sterczącej skały, pod którą stanął — i trzymając się jej z całej siły, mimo, że była lodem śliskim obłożona — zawisł niemal nad urwiskiem....

Oczyma trwogi śmiertelnej widział upiory, straszniejsze od tych wszystkich, o których słyszał od dziecka.

To znowu zdawało mu się, że z góry i z dołu idą i lecą całe stada dzikich bestyj drapieżnych ku niemu i już, już mają rozszarpać i pożreć biednego górala.

Raz jeszcze przeżegnał się.

Próbował modlić się do św. Antoniego w tej myśli, iż ten patron oświeci go może i wskaże nieszczęśliwemu zgubioną drogę. Lecz i tym razem nie szło z modlitwą.

Góral rozpaczał....

Nagle o skały niebotyczne odbił się znowu

huk wystrzału moździerzowego, poczem dzwony zaczęły grać po górach nieskończonem echem.

Szły dźwięki od wioski, z kościelnej dzwonnicy i płynęły po lodach ku szczytom; jako struny harfy, uderzały o skały poszarpane — i grały, grały wzniosłą pieśń «Alleluja».... Tak doleciała muzyka dzwonów do biednego górala, nad przepaścią wiszącego w rozpaczy okropnej — i echem dziwnem odbiła się o jego skałę, która w tejże chwili zadrżała.

I usłyszał góral najwyraźniej, że dźwiękom dzwonów odpowiedziała skała śpiewem. Tak, to w łonie góry, w głębi skały — głosy liczne, nawpół ludzkie nawpół nieziemskie, śpiewają chórem pieśń «Alleluja!»...

Słucha.

Śpiew nie milknie. Góral słyszy słowa pieśni, powtarza je omdlewającym głosem.

A Tatry całe wtórują niewidzialnym śpiewakom cudną muzyką dzwonów z górskiego kościółka.

Nagle śpiew ustał.

Skała zadrżała znowu i w oczach górala otwarła się szeroko, niecąc dokoła blask wielki pośród nocy, zalegającej góry.

Olśnił go widok, jaki się przed nim roztoczył.

Ujrzał góral mnogie hufce rycerzy z husarskimi u ramion skrzydły, w zbroi błyszczącej, z szablicami w ręku, a w hełmach ogromnych na głowie. Jeden w drugiego olbrzymy. Na ich czele

stał niby król, niby wódz, w zbroi, a w płaszczu szerokim i długim.

Wszyscy z czcią wielką słuchali kazania — wpatrzeni, jako w tęczę, w zakonnika-kapelana, co wyglądał i jak święty i jak żołnierz. Bo też mówił z serca i do serca....

Słucha i góral kazania i takie nakoniec słyszy słowa:

«A kiedy w Polsce nastanie Wielka Noc, powoła nas do Krakowa wawelski dzwon. I społem zejdziem z gór. Górale pójdą z nami wraz. A z góralami karpackimi ruszą Krakowiacy. I z równin mazurskie pójdą chłopy. Zbudzi się z nami Polska cała.... I w oną Wielką Noc z martwych wstanie!»...

Ksiądz skończył.

Rycerze chórem zaśpiewali znowu «Alleluja!»

Równocześnie zabrzmiały dzwony z górskiego kościółka, a tym razem tak silnie, że aż góral oderwał oczy od śpiewających rycerzy, a spojrzał w stronę, skąd płynęły dźwięki, powtarzane przez turnie stokrotnem echem.

Blask wielki, który bił od skały otwartej, oświetlał przestrzeń daleko.

Góral z radością poznał w tej stronie swoją wioskę. Oh, teraz już zna drogę.... Tak, tak, to tam zejdzie w dół na halę i już będzie jak w domu.

Odwrócił się z powrotem ku skale, lecz w tejże chwili z łoskotem zawarła się w jego oczach.

Zniknęły hufce zbrojne i ogarnęły go znowu cienie nocy. Jeszcze tylko przez chwilę z wnę-

trza skały płynęła pieśń zmartwychwsania, poczem zapanowała cisza.

Posnęli snać zaklęci w skale rycerze....

Cicho było jak przedtem i jak przedtem, ciemno, lecz góral już nie rozpaczał. Spokojny zsunął się powoli i ostrożnie ze skały, a odnalazłszy swą drogę, dostał się nad ranem szczęśliwie do wsi.

Opowiedział gromadzie, co widział i słyszał w noc Rezurekcyi, ale już nigdy później nie mógł odszukać wśród szczytów tatrzańskich tajemniczej skały śpiących rycerzy, od której echo co rok, w nocy z Wielkiej Soboty na Niedzielę Wielkanocną, niesie po górach polskich pieśń «Alleluja« i uroczyste słowa prorocze:

«Z martwych wstanie!«...

K. K.

Krzywoprzysięztwo.

— Dawno to już się działo, co wam opowiem i proszę was, kochani moi wnucy, opowiadajcie to swoim dzieciom i swoim wnukom, aby wieść ta nie zginęła, aby wszyscy, cały świat się o niej dowiedział i lękał się gniewu Bożego.

Tu zamilkł dziadek, potarł ręką czoło, jakoby chciał sobie przypomnieć żywo to wszystko, co nam miał opowiedzieć, a my wszyscy czworo: ja brat i dwie młodsze siostry, jeszcze bliżej przy-

sunęliśmy się do dziadka, aby i jednego słowa z opowiadania jego nie uronić. A dziadek opowiadać zaczął co następuje:

Lat temu 40 żył w naszej wiosce Szczercu pewien gospodarz; był on zamożny i cała okolica znała bogacza Jędrzeja, który za lat młodych sługiwał we dworze za gajowego. Pewnego razu — a był jeszcze wówczas biednym — zdarzyło się, że na polowaniu wyratował ojca naszego dziedzicu od niechybnej śmierci, a że dziedzic ten — świeć Panie nad jego duszą — był człowiekiem tak dobrym, iż najstarsi ludzie lepszego nie znali, to teraźniejszy dziedzic wynagrodził za to Jędrzeja i podarował mu piękne gospodarstwo, postawił dom, stodołę i obory; dał mu dalej parę wołów, krów i koni, słowem: zrobił Jędrzeja od razu gospodarzem zamożnym.

Myślelibyście, że Jędrzej więcej już niczego nie pragnie? Gdzie tam. Zrazu, prawda, prowadził się bardzo dobrze, był uczciwym i pracowitym, lecz już w parę lat zmienił się bardzo, a osobliwie od czasu, gdy umarł jego dobroczyńca. Jędrzej, jak to powiadają, zachorował na pana, bo wstydził się już biednej chłopskiej siermięgi, sprawił sobie miejską odzież, ożenił się z nie swoją wiarą, gdyż z luteranką ze dwora, która niegdyś z młodym dziedzicem przyjechała; wstydził się swego starowiny ojca w sukmanie, nakoniec — przebacz mu Boże grzech jego — on wyparł się też swojej wiary!

— A dziatki pamiętajcie zawsze o tem, że Bóg stworzył każdego człowieka i pozwolił mu

się urodzić w pewnej wierze i narodowości; jeżeli tedy on otrzymał przy Chrzcie świętym prawdziwą wiarę, niechże ją jako dar Boży chroni aż do śmierci. Ot, widzicie i między zwierzętami są rozliczne rody — są konie, woły, psy i inne stworzenia boskie. A czy widzieliście kiedy, aby z konia zrobił się wół, z wołu koń, z barana osieł?... Tego nikt jeszcze nigdy nie widział, a skoro nierozumne zwierzę zachowuje swój ród od Boga mu przeznaczony, o ileż więcej powinien każdy rozumny i uczciwy człowiek umierać w wierze prawdziwej, w której się urodził. Kto przeciw woli Bożej inaczej działa, ten gorszy jest od zwierzęcia, które nie ma rozumu....

— Skoro Jędrzej przeszedł na wiarę luterańską i odstąpił tem samem od wiary ojców swoich, opuścił i Bóg jego, a z Bogiem opuściło go i szczęście. Utracił on poważanie u ludzi, a wróg duszy ludzkiej zawładnął nim zupełnie. Jędrzej począł często jeździć do miasta, zkąd powracał najczęściej w nietrzeźwym stanie, a człowiek pijany, nigdy nic dobrego nie zrobi. Odkąd porzucił wiarę ojców, nie przyległ także do nowej i zawsze mu się zdawało, że nasz nieboszczyk ks. Proboszcz jego wrogiem, jakkolwiek kapłan nigdy go nie spominał, a jeżeli kto o Jędrzeju źle się wyrażał, to ks. Proboszcz brał odszczepieńca jeszcze w obronę i mawiał, że nie nam sądzić go należy, ale Bogu.

Prócz tego Jędrzej starał się zawsze wyrządzać księdzu Proboszczowi rozliczne krzywdy, a że księżowska sianożęć graniczyła z sianożęcią Jędrzeja, to zawsze przy pokosach szukał, jak to

mówią, zaczepki; to raz przekosił miedzę, to raz spasał łąkę księdza, słowem: dokuczał starowinie Proboszczowi, jak mógł lat kilka. W końcu urwała się cierpliwość Proboszcza. Pewnego roku przekopał Jędrzej sianożęć księżowską rowem, oderwał dla siebie kawałek, puścił tym rowem potoczek, który we większej części rozdzielał obie łąki i przyswoił sobie ten kawałek, mówiąc, że to jego własność.

Proboszcz posłał swego sługę do Jędrzeja, prosząc go, by przyszedł do niego. Ale Jędrzej hardo odpowiedział: «Powiedz księdzu, że jeżeli ma jaką sprawę do mnie, to niech do mnie przyjdzie; nie mam ja po co chodzić na plebanię!»

Proboszcz usłyszawszy taką odpowiedź, udał się też zaraz do Jędrzeja. Smiało wszedł 80-letni sługa Boży do swego zawziętego wroga, z odwagą przeszedł on kładkę, przerzuconą przez rzekę głęboką i wszedł do chaty Jędrzeja.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — powitał swego przeciwnika.

Jędrzej nic nie odpowiedział na to nabożne pozdrowienie.

— Czego chcecie odemnie? — spytał szorstkim głosem.

— Czego — odpowiedział staruszek — wyż, Jędrzeju, sami to wiecie. Nie upominam się ja o swoją własność, ale o własność świętego Kościoła. Gdyby kawałek łąki, którzyście przywłaszczyli sobie, był moim, nie wiem, ażalibyście mnie widzieli u siebie. Lecz wiedzcie, Jędrzeju, ja przysięgłem, że będę strzegł własności Kościoła i za

to mam kiedyś odpowiadać przed Bogiem; to też przychodzę do was, nie krzywdźcie Kościoła, oddajcie mu własność, którąście bezprawnie sobie przywłaszczyli.

— Bezprawnie — odpowiedział Jędrzej — rozstrzygnie to sąd, a nie wy, księże Proboszczu. Nie myślę się z wami spierać o to. Jeśli uważacie, żem wam krzywdę wyrządził, to niechaj nas sąd rozsądzi.

— Czy to ostatnie wasze słowo? — zapytał Proboszcz.

— Ostatnie! — odciął Jędrzej — proszę bardzo, nie napastujcie mnie w moim domu.

— Jędrzeju — przemówił ksiądz drżącym głosem. — Ja was maleńkim chłopcem uczył czytać i pisać, jam was nauczył chwalić Boga, a wy mi tak odpłacacie? Pomnijcie jam sługa Boga żywego i wszystkich nas Bóg ma sądzić, a wy....

— Proszę bardzo — przerwał Jędrzej — nie jestem waszym parobkiem i nauk nie potrzebuję. Wracajcie księże do domu, bo was inaczej psami wyszczuję!

Ze łzą w oku opuścił ks. Proboszcz dom Jędrzeja, oddał dotyczące papiery adwokatowi i tak rozpoczął się proces z Jędrzejem o kawałek sianożęci, który wart był z 10 talarów.

I Jędrzej przyjął sobie adwokata, który go w sądzie zastępował. Proces ciągnął się pół roku i skończył się tem, że sąd kazał przysięgać Jędrzejowi na jego nieprawdziwe zeznania, jakoby Proboszcz przed pięciona laty zamienił taki sam

kawałek sianożęci Jędzeja za ten kawałek, o który go teraz Proboszcz zapozwał.

* * *

Było to przed wiosną. Kry już na rzekach pływały, kiedy sąd wyznaczył termin, w którym Jędrzej miał złożyć powyższą przysięgę. Dzień przed tym terminem udał się Proboszcz jeszcze raz do Jędrzeja i ze złożonemi rękoma prosił go, ażeby nie gubił duszy swojej, nie składał fałszywej przysięgi, bo imię Boże wzywać daremnie, to grzech wielki i że Proboszcz z chęcią, byle go uchronić od tego grzechu, darowałby mu ten kawałek sianożęci i zapłacił z radością wszystkie koszta, ale przysięga, że będzie strzegł majątku kościelnego, nie pozwala mu na to. Wszystko było daremnie; Jędrzej odpowiedział zuchwale i pyszałkowato i poczciwy Proboszcz znów wyszedł ze łzami w oczach.

Na drugi dzień stanęli Proboszcz i Jędrzej w sądzie. Sędzia ostrzegł Jędrzeja, że go czeka kara doczesna i wieczna, jeżeliby krzywoprzysiągł; zakamieniałe atoli serce Jędrzeja nieprzystępne było dla tych słów. Podniósł prawą rękę, wzniósł trzy palce do góry i złożył fałszywą przysięgę!

— A co księże Proboszczu? — naigrawał się potem z kapłana — widzicie, że jeszcze żyję i nic mi się nie stało, chociaż powiadacie, że ja fałszywie przysiągłem. Jakoż wasz Bóg polski nie spieszy się mnie karać!

— Kto wie, czy się nie spieszy? — odpowiedział Proboszcz. — Jeszcze się dzień dzisiejszy nie skończył. Wiedzcie Jędrzeju, że was Kościół św. chować nie będzie.

— Ja się kościoła waszego nie boję i nie potrzebuję go. Ja mam swój kościół! — odmróknął Jędrzej z szyderstwem i poszedł.

Ze łzami w oczach i z sercem skrwawionem wrócił Proboszcz do wsi, a Jędrzej został w mieście. Mimo św. postu Jędrzej hulał w mieście, kazał grać muzyce, śpiewał i krzyczał, a więcej jeszcze pił, ażeby przygłuszć głos sumienia i późną nocą wracał do domu.

Niedaleko było już do domu Jędrzeja, gdy naraz konie się spłoszyły, skoczyły w rów głęboki, a chociaż i furman Jędrzeja przytrzymał konie, to złamały się 2 koła, a Jędrzej wyleciał z wózka, ale tak szczęśliwie, że nic mu się nie stało.

Noc była ciemna, że oczy wykól. Jędrzej ochłonąwszy z przestrachu, kazał furmanowi czekać przy koniach, a sam ruszył pieszo do domu.

Furman przeczekał z końmi do rana, pozwiązywał wózek jak mógł i dowlókł się do domu. Lecz jakże się przestraszyła żona Jędrzeja i dzieci jego, dowiedziawszy się, co się stało!... Jędrzej nie wrócił do domu, a choć zaraz szukać go zaczęto, nikt go nie odnalazł. Znaleziono tylko fajkę Jędrzeja na ścieżce niedaleko kładki i wszyscy mówili, że Jędrzej w nietrzeźwym stanie pewnie obrał krótszą drogę, upadł z kładki do rzeki i utonął.

Dłuższy czas szukano w rzece Jędrzeja, lecz go odszukać nie można było — przepadł bez wieści.

Nastała wiosna, ludzie zabrali się do pracy w polu i zapomnieli już o Jędrzeju. W sam poniedziałek Wielkanocny z południa bawiła się cała młodzież wiejska koło kościoła. Parobcy i dziewczęta śpiewali, gdy naraz garstka chłopaków puściła się biedz na wyścigi od kościoła do mostu i kto pierwszy stanie na moście, miał dosyć w nagrodę 10 pisanek.

Dwaj chłopcy stanęli równocześnie pierwsi na moście, a wszyscy późniejsi przybiegłszy także, radzili, aby wygrany zakład podzielić na dwóch zwycięzców. Kiedy tak wszyscy stali na moście, spostrzegł jeden z chłopców coś kołyszącego się na rzece przy brzegu; zwrócił uwagę swych towarzyszów na ten przedmiot, a kiedy wszyscy podeszli na brzeg rzeki, ujrzeli ze strachem, że z wody wyglądała ręka. Trzy palce tej ręki złożone były jak do przysięgi, a woda kołysała ręką do okoła.

Z krzykiem wrócili chłopcy pod kościół i opowiedzieli sołtysowi gminy, co zobaczyli na rzece. Mimo nakazu sołtysa nikt nie chciał wyciągać z wody ciała Jędzeja; wszyscy byli tego zdania, że pewno on spoczywa na dnie rzeki. Przyzwano nakoniec Sobka, który we wsi padlinę oprawiał. Sobek wsiadł w czółno, popłynął do topielca i kiedy ujął go za rękę, ręka oddzieliła się od ciała, a oprawca zwolna podanym sobie hakiem,

wydobył małemi kawałkami całe ciało. Po szmatach przegniłej odzieży poznali wszyscy Jędrzeja.

Cuchnąee resztki Jędrzeja złożył Sobek w czółno i przybił z niemi do brzegu; kiedy wyskakiwał z czółna na brzeg, woda porwała czółno, poniosła je pędem bystrym i z taką siłą uderzyła o słup mostu, że czółno przewróciło się i podrobione ciało Jędrzeja woda uniosła.

Prócz prawej ręki, którą w parę dni później pies Jędrzeja przywlókł do wsi, nie odszukano żadnej części ciała Jędrzeja, a i rękę uniósł pies, kiedy chciano mu ją odebrać, w zarośla i nikt jej więcej nie widział.

Tu zakończył mój dziadek opowiadanie, a my, wszystkie dzieci, przelękły się tej straszliwej kary, którą Bóg zesłał na Jędrzeja za krzywoprzysięztwo, ja zaś powieść tę podaję wam, mili czytelnicy, w całości.

Szlachetny odwet.

Jak za złe, dobrem odpłacać się należy, uczy nas postępek pewnego szlachetnego Indyanina w Ameryce. Zbłąkał się on razu jednego w czasie polowania. Wygłodniały i spragniony, udał się do angielskiego kolonisty, a ujrzawszy go siedzącego pode drzwiami, poprosił o kęs chleba.

Anglik cierpko odmówił mu kawałka chleba; wtedy Indyanin począł prosić o szklankę piwa

lub wreszcie o kubek wody, aby ugasił palące go pragnienie.

Ale Anglik bez serca odepchnął go nieludzko od swej chaty, nazwał biednego dzikiego Indyanina psem i nędznikiem.

W kilka miesięcy potem, zbłąkał się także ów Anglik na polowaniu i widział się zmuszonym prosić o pomoc Indyanina, którego na drodze spotkał, żądał, aby mu tylko drogę pokazał.

Lecz Indyanin zwrócił mu uwagę, że zapóźno już dziś wracać i że może u niego przenocować. Anglik potrzebą przyciśniony, lubo niechętnie i z niedowierzaniem przyjął zaprosiny i poszedł za uprzejmym dzikim do jego chatki.

Indyanin dał mu posiłek, na jaki go stać było, dał skórę zwierzęcą, by się na niej przespał, a skoro świat przebudził Anglika i wyprowadził go na prostą drogę.

Żegnając się z gościem, to jest z Anglikiem, zapytał go, czy nie przypomina sobie, że go kiedyś widział. Anglik zadumał się, przypatrzył się bliżej Indyaninowi i poznał w nim owego Indyanina, z którym tak niemiłosiernie i nie po ludzku obszedł się przed kilku miesiącami i odedrzwi go odepchnął.

Zawstydzony, wyznał nieludzkość swoją i zapraszał dzikiego, aby szedł z nim, bo chce naprawić dawniejszą krzywdę i odwdzięczyć się za domową gościnność.

Ale dziki uśmiechnął się przyjaźnie i życząc mu szczęśliwej podróży, zniknął wśród lasu.

Stół cesarski.

W roku 386 święty Marcin, Biskup Turoneński (w dzisiejszej Francyi) przybył do Trewiru prosić cesarza Maksyma, który tam stał obozem, o ułaskawienie kilku nieszczęśliwych.

Monarcha wielce uradował się z przybycia świętego męża, i zaprosił go wraz z towarzyszącym mu kapłanem do cesarskiego stołu.

Święty Biskup musiał przy stole siedzieć obok cesarza, a jego kapłan między bratem a stryjem cesarza.

W połowie uczty, podczaszy, według ówczesnego zwyczaju, podał cesarzowi puhar z winem — ale cesarz nie pił, tylko kazał, aby naprzód wypili św. Marcin i jego kapłan, bo chciał przez to pokazać całemu dworowi, że kapłanów uważa za najzacniejsze i pierwsze na świecie osoby.

Cesarzowa także prosiła Biskupa, aby raczył być u niej na obiedzie. Biskup przyrzekł i przyszedł. Cesarzowa własnemi rękoma przyrządzała potrawy i sama do stołu usługiwała, sama przynosiła każdą potrawę, a kiedy Biskup pożywał, cesarzowa stała w pokornej postawie, jakby jaka służebnica.

Taka to dawniej była pobożność i religijność nawet na dworach cesarskich i u najmożniejszych panów.